

## **Remigiusz Okraska: Czerwony scenariusz, czyli robotnicy przeciwko „partii robotniczej”**

Masakra grudniowa była kolejnym epizodem walki klasowej. Krwawym i brutalnym, ale dzięki temu także wyjątkowo pozbawiającym złudzeń. Choć ekipa Gierka znowu obietnicami, propagandą i częściowymi ustępstwami kupiła nowej klasie wyzyskiwaczy kilka lat względnego spokoju, to w lokalnej, trójmiejskiej skali Grudzień oznaczał absolutny koniec złudzeń – pisze Remigiusz Okraska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Grudzień '70 z perspektywy”.

„Z okien wylewał się gęsty szary dym gazów łzawiących. Wtedy z okna wytknięto białą flagę, na balkon wyszła grupa kilkunastu milicjantów z niesamowicie spuchniętymi, czerwonymi twarzami. Kazano im zrzucić na ulicę pałki, broń i pasy, zejść na dół i rozebrać się do gaci. Wtedy młody szczupły chłopak wspiął się po okiennych kratkach i zatknął na Komitecie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej biało-czerwoną flagę. Zebrani zdjęli z głów hełmy i czapki i w postawie na baczność odśpiewali hymn narodowy. Wygraliśmy! Komitet palił się jak pochodnia” – tak po latach Andrzej Gwiazda wspominał jeden z epizodów Grudnia w Trójmieście. Edmund Bałuka, lider niemal równoległych niepokojów w stoczni w Szczecinie, mówił z kolei: „Przed główną bramą stało dwóch czy trzech tramwajarzy oraz paru innych robotników. »Chodźmy, spalimy sk...synów, czerwonych łobuzów!« – zaczęli się drzeć. A tam jakieś trzy tysiące ludzi pod bramą główną... My jednak ruszyliśmy nie na Komitet Wojewódzki, lecz do miasta. Ale zaraz przy pl. Grunwaldzkim stała milicja, z wyrzutniami gazu.

Zaatakowali nas, zabronili pójść do miasta, zepchnęli w kierunku Komitetu Wojewódzkiego [...] W pewnym momencie – sam nie wiem, kto to zarządził – ktoś rzucił hasło ataku na milicjantów; każdy z nas miał kilka kamieni. I pędzimy dalej, pod Komitet Wojewódzki. A on już płonie”.

Tak oto spełniło się proroctwo, przypisywane Władysławowi Gomułce, który ponoć miał przestrzegać, że „władzę robotniczą” obalą w Polsce właśnie robotnicy.

Wspomniany Bałuka, który w międzyczasie wyemigrował z Polski, związał się ze środowiskami radykalnej lewicy na Zachodzie, a w okresie „Solidarności” wrócił do kraju, dodawał, mówiąc o ponad dekadę późniejszym procesie: „na swojej rozprawie sądowej powiedziałem adwokatowi, który mówił, że broni socjalistycznej Polski Ludowej: »Nie, Panie Majorze, Pan broni swojego stołka. Pan nie broni ani socjalizmu, którego nie ma, ani Polski Ludowej. Polska nie jest wcale Ludowa”. Mówił niemal dokładnie to samo, co dwie dekady wcześniej napisał Zygmunt Zaremba – przedwojenny działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, po wojnie jeden z liderów emigracyjnych struktur tego ugrupowania: „Gdy w wydanej w kraju Encyklopedii przy moim nazwisku umieszczono uwagę, jakoby był przeciwnikiem Polski Ludowej, natychmiast zaprotestowałem publicznie: całe życie walczyłem o Polskę Ludową, jestem tylko przeciwnikiem systemu rządów panujących obecnie w Polsce”.

Zanim przez Polskę przetoczyły się robotnicze zrywy, szczególnie te traktowane jako najbardziej brzemiennie w skutki z perspektywy zmiany ustrojowej, zanim grupki intelektualistów nawiązały kontakt ze

środowiskami pracowniczymi, zanim wyłoniła się z tego „Solidarność” – taki scenariusz był „oczywistą oczywistością” dla ludzi wywodzących się z pewnej niemodnej i zapomnianej dzisiaj tradycji. Socjalistycznej. Mowa o lewicy odwołującej się do etosu Polskiej Partii Socjalistycznej.

Po pierwsze, socjaliści-antykomuniści wierzyli, iż żyje pamięć o tradycji PPS, czyli walki zarazem o chleb i o wolność, traktowanych nierozdzielnie. Jakkolwiek wojna przeorała polskie społeczeństwo, przyniosła ogrom ofiar, to udało się ją przetrwać wielu aktywnym dawnym działaczom robotniczym, wśród których szczególnie stawiano na przedstawicieli „arystokracji robotniczej” – robotników wykwalifikowanych, fachowców z ośrodków przemysłowych, którzy pamiętali przedwojenne tradycje walk pracowniczych nie tylko o lepszy byt, zarobki i „socjal”, ale także o samostanowienie tej klasy, jej żądania samorządności w zakładach, autonomii związków zawodowych itp. Klęska wrześniowa była klęską państwa zacofanego, o archaicznym modelu gospodarczym i własnościowym, z narastającymi deficytami demokracji – stąd też chciano czegoś innego, a postulaty i programy podziemnych ugrupowań z lat okupacji dokumentują mocny zwrot w lewo nie tylko nominalnej lewicy, ale także stronnictw ludowych, chadeckich itd.

Jednocześnie wszakże owo „lewo” nie oznaczało naśladownictwa realiów sowieckich i bezwolnego poddawania się partyjno-milicyjno-ubeckiej totalizacji politycznej. Przeciwnie: domagano się uspołecznienia przemysłu, odejścia od gospodarki kierującej się logiką prywatnego zysku, ale także samorządności społecznej i robotniczej, również w postaci faktycznego współzarządzania sektorem wytwórczym i handlowym przez pracowników. To wszystko oczywiście w połączeniu z silnymi nastrojami antysowieckimi, wynikłymi nie tylko

z pamięci o 17 września 1939 r. i zetknięcia się z realiami powojennymi, ale także zakorzenionymi w bardzo krytycznej wobec ZSRR postawie przedwojennych stronnictw nie tylko prawicowych czy sanacyjnych, lecz również socjalistycznych i ludowych.

Po trzecie, już rzeczywistość pierwszych powojennych lat pokazała, że robotnicy nie poprzestali na przyjęciu z ulgą wieści o zakończeniu wojny. Łukasz Kamiński, późniejszy prezes IPN, opublikował w 1999 r. książkę „Strajki robotnicze w Polsce w latach 1945-1948”. Już w ostatnich miesiącach okupacji miały miejsce liczne robotnicze działania na rzecz ocalenia przemysłu przed wycofującymi się Niemcami – próbami niszczenia go, wywożenia najcenniejszych maszyn i surowców itp. W wielu miastach oddolne, spontaniczne robotnicze grupy – milicje, straże porządkowe – przeciwdziały takim poczynaniom na różne sposoby, od sabotażu, przez rozbijanie niedobitków, po współpracę z wkraczającymi wojskami. Wiele z nich było aktywnych ciut później, gdy część substancji produkcyjnej chcieli wywieźć Sowieci.

W roku 1946 odnotowano średnio 47 strajków miesięcznie. Najwięcej strajków – 56,51% ogółu – miało miejsce w przemyśle włókienniczym. W strajkach w roku 1946 brało udział 340 tys. robotników, co stanowiło ok. 28% ogólnej liczby zatrudnionych wtedy w przemyśle. W tymże roku aż niemal 19% strajków to były protesty, w których brało udział ponad 1000 uczestników, a mowa o czasach tuż powojennych, gdy dużych fabryk nie było tak wiele. Około 85% ogółu strajków w latach 1945-48 miało podłoże ekonomiczne. Znaczna część strajków miała postulat klasyczny, czyli żądanie podwyżek płac, ale dwa inne ważne motywy strajków to żądanie zmiany systemu premiowania, który w swych założeniach miał przeciwdziałać strajkowaniu, a także sprzeciw

wobec zwiększania norm produkcji. Co to oznacza? Że polski robotnik nie tęsknił za II RP i realiami zacofanego kapitalizmu, ale bynajmniej nie godził się na dyktat nowej władzy i nie rezygnował z walki o swoje prawa oraz z własnego sprawstwa.

Czwarty wreszcie czynnik pozwalający spodziewać się tego, iż robotniczy opór okaże się bardzo problematyczny dla władz PRL, wynikał z potraktowania serio dwóch czynników: marksizmu oraz obietnic władzy. Marksizm był na tle innych nurtów lewicy i socjalizmu („utopijnego”) nowatorski z tej przyczyny, że odwracał popularne wnioskowanie przyczynowo-skutkowe. Gdy inni socjaliści głosili, że przemiany gospodarcze zależą od tego, jakie idee krążą w społeczeństwie i kto potrafi je skutecznie rozpropagować, Marks i Engels uznali, że jest odwrotnie: to przemiany gospodarcze, przeobrażenia świata materialnego, odpowiadają za to, co jest popularne i skuteczne. Dlatego uznali, że silny ruch na rzecz socjalizmu jest możliwy dopiero po uprzemysłowieniu i urbanizacji. Gdy powstają wielkie fabryki, to skupiają wielkie masy ludzi, oni zaczynają się czuć jednością, mieć świadomość wspólnych interesów w tej grupie, wyrobić nawyki współpracy w przemyśle oraz poczuć własną potęgę, policzyć się.

Stąd też PRL, stawiając na program forsownej industrializacji i rozbudowy miast przemysłowych – z innymi celami na sztandarach i metodami na podporządkowaniu, ale ze skutkami podobnymi do procesów wcześniejszej o stulecie rewolucji przemysłowej w krajach Zachodu – stanowił lepsze podłoże dla ufundowania robotniczej siły niż przedwojenny kapitalizm kraju postfeudalnego, rolniczego, małomiasteczkowo-manufakturowego. A w dodatku, inaczej niż kapitalizm, dowartościowywał klasę robotniczą symbolicznie,

deklarując, że to właśnie dla niej jest nowy ustrój, że to wszystko ma służyć jej. A nawet że to ludzie pracy mają rządzić. Wierność wskazaniom klasycznej doktryny socjalistycznej – a warto dodać, że PPS była, wbrew dzisiejszym prawicowym mitom i laurkom, partią patriotyczną i antykomunistyczną, ale także konsekwentnie socjalistyczną i marksistowską – kazała uważać, iż elita rządząca PRL-em niejako sama kopie sobie grób. Wytwarza nowe, masowe zastępy klasy robotniczej oraz stawia tę klasę na piedestale zarówno jeśli mowa o żądaniach materialnych, jak i o roli politycznej. A klasa ta prędzej czy później naprawdę się o to wszystko upomni – tak jak przewidywali twórcy marksizmu.

Tadeusz Podgórski, emigracyjny działacz PPS, podsumowywał to po latach na zebraniu partii w Londynie w roku 1975, nie tylko patrząc wstecz, lecz także kreśląc perspektywy na przyszłość: „W miarę uprzemysłowienia kraju wyrosła w PRL potężna – i prężna – wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. W roku 1974 mieliśmy w kraju 3 miliony 800 tys. robotników grupy przemysłowej, a ponadto ponad dwa i pół miliona robotników innych grup. Jest to więc w Polsce współczesnej decydująca siła społeczna, chociaż jako formacja społeczna jeszcze nie pod każdym względem dojrzała. Jednak w miarę formowania się tej klasy aparat komunistyczny będzie miał z nią coraz więcej kłopotów. Posmak tego miały już władze PZPR w roku 1956, następnie 1969, 1970 i 1971 r., a także co roku poczynając od jesieni 1973 r.”. Inne ze środowisk emigracyjnego polskiego socjalizmu, grupa skupiona wokół wspomnianego Zaremby, w uchwale programowej swojego V Zjazdu stwierdzała w roku 1962: „Uprzemysłowienie Polski i związane z tym liczebne wzmocnienie klasy robotniczej, jak również ostateczne usunięcie przywilejów urodzenia i majątku, potęgują siły postępu w kierunku socjalizmu. Pozytywne strony przemian dokonanych wysiłkiem narodu zostały jednak obciążone

konsekwencjami metod bezlitosnego wyzysku ludzkiej pracy i gwałtu wobec społeczeństwa. Wyrasta nowa klasa, czerpiąca liczne przywileje z faktu posiadania nieograniczonej władzy i dyspozycji wszystkimi środkami produkcji”.

„Nowa klasa” nie jest tu terminem przypadkowym. Socjalistyczna wizja antagonizmu klasy robotniczej oraz decydentów PRL-owskiego porządku doczekała się w kręgach lewicy niekomunistycznej całej teorii. W roku 1957 ukazała się głośna rozprawa byłego decydenta jugosłowiańskiego, „drugiego po Ticie”, a wówczas już dysydenta, Milovana Džilasa, „Nova Klasa”. Już w tym samym roku paryski Instytut Literacki wydał polski przekład pt. „Nowa klasa wyzyskiwaczy”. Książka głosi tezę mówiącą, iż w rzeczywistości sowieckiej i „bratnich narodów” dawni wyzyskiwacze kapitalistyczni i sprzężeni z nimi jednym interesem politycy burżuazyjni zostali w roli władcy, choć jeszcze potężniejszego, bo monopolistycznego, zastąpieni przez oligarchię partyjną, władającą niepodzielnie nie tylko sferą polityczną, ale także gospodarczą w systemie własności teoretycznie uspołecznionej, a de facto upaństwowionej. Nowa elita władzy, będąca zarazem elitą nadzoru nad gospodarką, z punktu widzenia robotników i w ogóle pracowników najemnych nie różni się wiele od dawnych kapitalistów. Owszem, musi czynić pewne koncesje ideologiczne, przeznaczając część zysku na inwestycje socjalne (mieszkania, usługi publiczne itp.), a swoją faktyczną rolę i związane z nią przywileje musi dość skrzętnie ukrywać – jednak jej celem jest zagarnianie znacznej części wypracowanego dochodu na potrzeby własnego wzbogacania się i próżniaczej konsumpcji. Nie ma tu mowy o emancypacji świata pracy, jego samorządności, o zniesieniu antagonizmu klasowego – jest zarazem brutalna, jak i zamaskowana ideologicznym frazesem rzeczywistość eksploatacji siły roboczej. Oczywiście kwestia własności wygląda odmiennie niż w kapitalizmie, bowiem aparatczycy partyjni

nie posiadają środków produkcji na własność, nie dziedziczą ich automatycznie w modelu rodowo-pokoleniowym itd., jednak interesy świata pracy są, podobnie jak w kapitalizmie, sprzeczne z interesami nowej klasy.

O książce Dżilasa było głośno w całym świecie. O wydanej rok później książce Zaremby „Narodziny klasy rządzącej w ZSRR” mało kto wiedział wtedy, a dzisiaj nie pamięta prawie nikt. Tymczasem, choć autor zawdzięczał pewne tropy i refleksje jugosłowiańskiemu ex-członkowi „nowej klasy”, zaproponował analizę bardziej szczegółową i faktograficzną oraz mocniej osadzoną w lewicowej myśli krytycznej. Zaremba był dłużnikiem bardzo ciekawego polskiego myśliciela Jana Wacława Machajskiego, który już w początkach XX wieku portretował z perspektywy lewicowo-egalitarnej partii socjalistycznej jako ruch na rzecz władzy i przywilejów inteligencji, także tej postępowej. Warstwa ta, pozbawiona własności środków produkcji, pozostawała w efekcie w cieniu sfer kapitalistycznych. Dzięki wykorzystaniu poczucia krzywdy mas robotniczych chciała zatem, jak przekonywał Machajski, polepszyć własną pozycję, a nawet objąć stery władzy w państwie i w ten sposób poprawić położenie swojej grupy, wskoczyć do pierwszej ligi sprawczości, ale także zysków z gospodarki. O robotników i ich dolę nie chodziło inteligentom („białorękim”) zdaniem Machajskiego wcale. Stąd nacisk na odsuwany na „święty nigdy” frazesowy socjalizm, zamiast polepszania doli pracowniczej wszelkimi możliwymi sposobami tu i teraz, a przede wszystkim brak postulatów likwidacji nierówności społecznych w innych sferach, takich jak edukacyjno-kulturowo-kompetencyjne (dziś zwiemy je, za Bourdieu, kapitałem kulturowym) czy nierówności w dziedziczeniu. Machajski już w roku 1905 pisał, że „przekazanie środków produkcji w ręce społeczne w sposób nienaruszający innych świętych praw własności to socjalistyczny ideał »pracowników umysłowych«, owej wykształconej

warstwy”. Zaopatrzona w wiedzę i wykształcenie, w środowiskowe kontakty i „obycie”, dziedzicząca rodowe majątki i pozycję społeczną – to właśnie inteligencja, a szczególnie nastawiona na osiągnięcie tego celu grupa liderów ruchu socjalistycznego, będzie stanowiła trzon warstwy kierowniczej nowego ustroju po uspołecznieniu środków produkcji, czyli wyeliminowaniu konkurencji rekrutującej się z klasy posiadającej w kapitalizmie. I oczywiście przejmie z rąk pokonanej burżuazji wszelkie przywileje oraz panowanie nad robotnikami.

Teoria ta, wyklęta wraz z autorem i zajadle zwalczana przez socjalistów (w tym PPS) dawniej, została przez Zarembę w dużej mierze zrehabilitowana i zaadaptowana do krytyki systemu sowieckiego. „Nowa klasa wyzyskiwaczy” pokonała dawnych kapitalistów krajów gospodarczo zacofanych i peryferyjnych – i zastąpiła ich w dziele wyzysku, akumulacji kapitału, przejmowania nadwartości itp. Paradoks historii polegał na tym, że w takim systemie robotników eksploatowała i żerowała na ich pracy wąska elita nazywająca się socjalistyczną czy ludową, a skupiona w partiach nominalnie robotniczych. Skoro jednak nie zniknął sam mechanizm wyzysku, to, zgodnie z marksowską teorią, nie mogła zniknąć także walka klas. Walka klasy robotniczej, wciąż bardziej licznej wskutek forsownej industrializacji, z nową klasą wyzyskiwaczy.

Tak też się stało. Zanim jeszcze Zaremba napisał wspomnianą książkę – aczkolwiek nie była ona pierwszym głosem w takim duchu – już sama rzeczywistość unaoczniała sens takich tez. Robotnicze powstanie w Berlinie w 1953 roku, poznański Czerwiec ’56, zryw węgierski tego samego roku – wszystkie one przebiegały wedle socjalistycznych wyobrażeń o rewolucji. Choć dziś przedstawia się tamte wydarzenia przede wszystkim jako narodowe czy obywatelskie zrywy wyzwolenicze,

miały one cechy wspólne i charakter rewolucji robotniczych: bazowały na robotnikach, ich zapleczem organizacyjnym były zakłady pracy, podnoszono hasła „socjalizmu na serio” (czyli spełnienia tego, co kompartie tylko obiecywały) oraz tworzono alternatywne struktury władzy w postaci rad robotniczych.

Już 30 czerwca 1956 r., zaraz po wydarzeniach poznańskich, struktury PPS w Niemczech Zachodnich wydały odezwę popierającą bunt robotników. Janusz Jarzębski analizował z kolei w „Przedświcie”, biuletynie PPS w RFN: „W roku 1956 komunistyczni przywódcy **kapitalizmu państwowego** [podkreślenie moje – R. O.] w Polsce kazali strzelać do robotnika polskiego, który nie mogąc więcej znieść nędzy i niewoli wyszedł na ulice Poznania wołając: »chleba i wolności«. [...] Bracia nasi cierpią tam głód. Przeciętny zarobek robotnika nie wystarczy na zaspokojenie najżywotniejszych potrzeb. Ale wiemy równocześnie, że cała góra partyjna, komunistyczna, żyje w dostatku. Różne Ochaby i Cyrankiewiczze mają swoje sklepy zapełnione zagranicznymi towarami. Jeżdżą tylko luksusowymi samochodami amerykańskimi i moskiewskimi. Ich tłuste postacie i chude twarze robotników stanowią kontrasty życia w Polsce. [...] Manifestacja w Poznaniu wykazała jedną niezbitą prawdę: najniebezpieczniejszym dla komunizmu jest robotnik. Chłop i inteligent stawia tylko bierny opór, robotnik zaś jest wielką siłą w swej zorganizowanej masie. Ta siła pokazała w Poznaniu do czego jest zdolna. Jeśli się ugięła to tylko chwilowo i przed ogniem karabinów maszynowych i dział. Ta siła dalej istnieje i reżym jej się boi, bo poszedł na ustępstwa”. Z kolei emigracyjny lewicowiec Adam Uziembło pisał w paryskiej „Kulturze” jesienią 1956 r.: „Jedno jest pewne – że rozruchy poznańskie uderzyły jak pałką w łeb tych, co sprawują dyktaturę nad polskim proletariatem. Sam Ochab stwierdził, że partia nie przeczuwała nawet, że w Poznaniu zbiera się burza. Wynurzenia te zadają kłam wszystkim zapewnieniom,

że KC PZPR reprezentuje klasę robotniczą w Polsce. Nie tylko nie reprezentuje, ale nie umie nawet jej obserwować. [...] Dodajmy w nawiasie, że w tym samym nieomal stopniu dostała pałką w łeb i myśl polityczna emigracyjna. Wszystkich nas pochłonęły sprawy »odwilży« i jej objawy w prasie, czasopiśmie, na naradach i konferencjach. W tym wszystkim zatraciliśmy wycucie tego, co się dzieje naprawdę. I ta prawda, że robotnik pozostał nadal najważniejszą siłą rewolucyjną w Polsce (a i w innych krajach niewolnych) – znikła nam z oczu”.

Zaremba w książce o nowej klasie wyzyskiwaczy analizował niedawne wypadki w czysto marksowskim duchu sprzeczności ekonomicznych: „Nie jest dziełem czystego przypadku, że wydarzenia w Polsce i na Węgrzech rozegrały się w roku 1956. Był to rok następujący po zamknięciu pierwszej pięciolatki, a więc podsumowania wyników okresu ubiegłego i ujawnienia się bankructwa komunistycznych obietnic poprawienia warunków bytu ludności w wyniku szybkiego uprzemysłowienia. W Polsce zamknięty właśnie plan obiecywał podniesienie realnych płac robotniczych o 40 proc. W rzeczywistości nieznaczne podwyżki płac nastąpiły tylko w paru gałęziach zatrudnienia, dla wielu zaś kategorii płace jeszcze się skurczyły. Podobnie na Węgrzech, gdzie ponadto forsowanie kolektywizacji rolnictwa doprowadziło do chronicznego braku żywności. Propagandowe chwalby reżimu na temat wielkich osiągnięć w zakresie rozwoju przemysłu zaostrzyły tylko świadomość jakiegoś potwornego oszustwa, którego pastwą pada człowiek pracy. W warsztatach, fabrykach i na kopalniach [...] dyskusje robotników [...] przybrały tony dawno niesłyszane. [...] nastroje nabierały charakteru rewolucyjnego. [...] Brakowało jednak ciągle form organizacyjnych dla walki zbiorowej robotników. Ani partia komunistyczna, ani związki zawodowe, opanowane całkowicie przez nią, nie nadawały się w żadnym wypadku do roli rzecznika potrzeb robotniczych. [...] I oto w Polsce, podobnie też

na Węgrzech i w Niemczech Wschodnich wyłania się organizacja ad hoc w postaci delegacji robotniczych, wybieranych przez załogi robotnicze poszczególnych fabryk i zakładów pracy w celu formułowania i przedstawienia władzom żądań robotniczych. [...] Niezależne delegacje robotnicze wyrastały żywiołowo w każdej większej fabryce, formułowały postulaty dotyczące podwyżki płac i natychmiastowych zmian w istniejących warunkach pracy. Już to samo stanowiło znak rewolucyjny. Burzyło sztuczną konstrukcję sfałszowanej reprezentacji ludzi pracy. Konfrontowało prawdziwe żądanie mas pracujących z planami poszczególnych zakładów przemysłowych i rządu jako kierownika całego przemysłu”.

Podgórski dodawał w 1966 r. w londyńskim piśmie „Lewy Nurt”: „Masy robotnicze, zwolnione czasowo spod bezwzględnej kontroli partii, szukały dość skutecznie środków samoobrony społecznej. Jako formę organizacyjną przyjęły ograniczony do pojedynczych przedsiębiorstw fabryczny samorząd robotniczy. Za przykładem Jugosławii przybrał on formę i nazwę rad robotniczych. Wszędzie organizacja ta powstawała samorzutnie i wyraźnie wbrew woli partii”. Cytuje on także słowa jednego z prominentów nowej klasy wyzyskiwaczy, Piotra Jaroszewicza: „Myśl o powstaniu rad robotniczych jest wyrazem krytyki klasy robotniczej w stosunku do istniejącego u nas systemu zarządzania przemysłem”.

W takiej sytuacji Adam Ciołkosz, jeden z liderów emigracyjnej PPS, mógł w lipcu 1957 r. oznajmić z przekonaniem na Kongresie Międzynarodówki Socjalistycznej w Wiedniu: „Komuniści mówili nam często, o czym zresztą wiedzieliśmy sami bardzo dobrze, że nie ma powrotu do roku 1939. Teraz my możemy powiedzieć komunistom, że nie ma powrotu do roku 1944, 1947, 1952”.

Jakkolwiek rewolucję węgierską i bunt robotników Poznania utopiono we krwi, to polski zryw przyniósł przemiany Października, odwilż polityczną i rządy Gomułki. Ten ostatni oczywiście, zgodnie z nieubłaganą logiką interesów nowej klasy wyzyskiwaczy, szybko stłamsił silny ruch rad pracowniczych, który wyniósł go do władzy. W londyńskim „Robotniku” Michał Gamarnikow już wiosną 1958 pisał: „wkrótce po Październiku stało się rzeczą oczywistą, że klasa robotnicza ma znowu ponosić główny ciężar naprawiania błędów planu sześcioletniego. Gomułka opanował naciski inflacyjne przez zamrożenie płac robotniczych w marcu ub.r., zezwalając jednocześnie na oficjalne i nieoficjalne podwyżki cen. W rezultacie nastąpiła stagnacja, a często i spadek realnych zarobków robotniczych. W rezultacie stosowania tych bodźców ekonomicznych nastąpiło jednak poważne przesunięcie w podziale dochodu narodowego na niekorzyść klasy robotniczej. [...] Teoria, którą na IV Kongresie [Związków Zawodowych] wysunął Gomułka, jest bardzo prosta. Jedynym źródłem wzrostu stopy życiowej jest wzrost dochodu narodowego. Wzrost stopy życiowej trzeba więc wypracować. Wypracować przez wyższą produkcję i wyższą wydajność pracy. Tak się złożyło, że niemal jednocześnie z przemówieniem Gomułki, w londyńskim »Time and Tide« pojawił się artykuł pt. »Logika strajków«, a w nim argumenty kubek w kubek podobne do argumentów Gomułki. To samo mówią wielcy kapitaliści na całym świecie: najpierw większa produkcja, większa wydajność pracy, a potem dopiero podwyżki płac. Widocznie przywłaszczenie wartości dodatkowej kształtuje psychologię przywłaszczającego bez względu na ustrój. Teoria o konieczności wypracowania **dodatkowego** dochodu narodowego na podwyżki płac jest z gruntu fałszywa, bo zakłada ona, że dotychczasowy **podział** tego dochodu jest **sprawiedliwy**.

Użytkownik wartości dodatkowej – kapitalista czy biurokrata – nie chce i nie zamierza dzielić jej z robotnikiem, a tym bardziej nie pragnie jej oddać. Czyni to tylko pod przymusem, pod groźbą strajku”.

Gomułka sprawniej niż poprzednia ekipa zarządzał nastrojami, przede wszystkim nieco zmieniając proporcje między nakładami na forsowną industrializację i na konsumpcję. Swoje zrobiło też ogólne poluzowanie polityczne i kulturalne. Jednak zasadniczy antagonizm między klasą robotniczą a nową klasą wyzyskiwaczy pozostał, bo pozostać musiał, jako fundament modelu sowieckiego. Nic dziwnego, że nastroje krytyczne narastały. Cytowany już Podgórski, czołowy emigracyjny pepeesowski analityk robotniczego oporu w PRL, pisał w roku 1975:

Zjawisko gwałtownie rosnącej opozycji dało się zaobserwować w środowisku robotniczym jesienią roku 1969. Mnożyły się wtedy konflikty w fabrykach związane z wprowadzaniem w życie zakłamanych zarządzeń »usprawniających« sekretarza ekonomicznego KC PZPR Bolesława Jaszczuka, który w dodatku nazwał swój program »dokręcania śruby« wdrażaniem nowych bodźców »zainteresowania materialnego«. We wrześniu i październiku roku 1970, z tych właśnie powodów, było już o pół kroku od gwałtownego wybuchu buntu w kopalniach, hutach i fabrykach na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Nie doszło do wybuchu, gdyż Gierek umiał na czas wymusić na Gomułce pewne ustępstwa dla robotników województwa katowickiego. Natomiast zlekceważenie przez ekipę Gomułki podstawowych interesów mas pracowniczych w grudniu roku 1970 i ogłoszenie bez przygotowania i wyrównań płacowych drastycznej podwyżki cen artykułów powszechnego użytku spowodowało dramatyczny i krwawy wybuch na Wybrzeżu, to

znaczy otwarty bunt stoczniovców i portowców w Gdańsku, Gdyni, Elblągu, Słupsku i Szczecinie, który to bunt doprowadził w konsekwencji do upadku Gomułki i dużych zmian w partyjno-rządowej ekipie PRL.

Masakra grudniowa była, jak obrazoburczo i/lub niedzisiejszo by to dzisiaj nie brzmiało, kolejnym epizodem walki klasowej. Wyjątkowo krwawym i brutalnym, ale dzięki temu także wyjątkowo pozbawiającym złudzeń. Choć ekipa Gierka znowu obietnicami, propagandą i częściowymi ustępstwami kupiła nowej klasie wyzyskiwaczy kilka lat względnego spokoju – aczkolwiek okres ten obfitował we wrzenie w zakładach pracy, regularnie dokumentowane przez emigracyjnych socjalistów i obejmujące szereg wystąpień dzisiaj już zupełnie zapomnianych – to w lokalnej, trójmiejskiej skali Grudzień oznaczał absolutny koniec złudzeń. Nic dziwnego, że to właśnie tam powstały Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża, z których wyrosła „Solidarność”. I że w ich deklaracji założycielskiej znalazło się bardzo czytelne odwołanie natury ideowej: „Dziś, w przededniu 1 maja, święta od ponad 80-ciu lat symbolizującego walkę o prawa robotnicze, powołujemy Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża”.

Co było później, wszyscy wiemy. Jak natomiast sami robotnicy wyszli na sojuszu z inteligencją, która tradycje Komitetu Obrony Robotników zamieniła na popieranie planu Balcerowicza i dewastacji przemysłu w Polsce? Tak, jak przewidywał Machajski, tyle że w odmiennych realiach gospodarczych niż w początkach XX wieku był to tym razem powrót do dzikiego kapitalizmu, w którym „przywódcy proletariatu” stali się akcjonariuszami Agora SA.

*Remigiusz Okraska*

*Fot. Erdei Katalin, CC BY-SA 3.0*



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego